

China Miéville

KRAKEN

Przełożyła
Krystyna Chodorowska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NIEPOZORNY DEMONSTRANT Z PLAKATEM przymocowanym do piersi oddalił się szybkim krokiem od swego terytorium, które okupował przez ostatnich kilka dni — tuż przed wejściem do muzeum. Na kartonie z przodu wypisana była standardowa przepowiednia wieszcząca koniec świata. Plakat kołyszący się na plecach dodawał: „Nic z tych rzeczy”.

W środku pewien mężczyzna przeszedł przez hol, minął podwójne schody i wielki szkielet, a jego kroki dźwięczały głośno na marmurowej posadzce. Zewsząd spoglądały na niego kamienne zwierzęta.

— Dobrze, dobrze — powtarzał pod nosem.

Nazywał się Billy Harrow. Zerknął na wielkie sztuczne kości i skinał głową, jakby na powitanie. Był październikowy poranek — właśnie minęła jedenasta i sala powoli się wypełniała. Przy wejściu czekała na niego grupka ludzi zerkających na siebie z grzeczną nieśmiałością.

Było tam dwóch mężczyzn, na oko dwudziestoparoletnich, z fryzurami „na kujona”. Jakaś para dwudziestolatków przekomarzała się ze sobą, kobieta najwyraźniej przyszła tu na prośbę partnera. Była też dwójka starsuszków i trzydziestoparoletni mężczyzna z małym chłopcem.

— Patrz, synku, to małpa — mówił, wskazując kolejne

zwierzęta wyrzeźbione na kolumnach pośród winorośli. —
A tam jaszczurka. Widzisz?

Chłopiec zmrużył oczy. Spoglądał na szkielet apatozaura, z którym Billy przywitał się wcześniej. A może na glyptodona stojącego za nim. Każde dziecko miało w holu muzeum swojego ulubionego mieszkańca, a glyptodon, krągły olbrzymi pancernik, był ulubieńcem Billy'ego.

Mężczyzna uśmiechnął się do bileterki i stojącego za nią strażnika.

— Już wszyscy? — spytał. — To co, zaczynamy?

Przetarł okulary, mrugając oczami — jego eks powiedziała mu kiedyś, że wygląda wtedy uroczo. Billy dobiegał już trzydziestki, ale był piegowaty i nie miał dość zarostu, by mówiono mu „Bill”. Czasem podejrzewał, że zestarzeje się jak DiCaprio — będzie przypominał coraz bardziej pomarszczone dziecko.

Przed wyjściem z domu lekko zmierzwił włosy, by przypominały modne uczesanie, włożył też dość porządną koszulkę i tanie dżinsy. Gdy rozpoczynał pracę w muzeum, wydawało mu się, że wygląda nieprzytomnie wręcz stylowo. Teraz wiedział, że nikogo nie zaskoczył — nikt już nie oczekiwał, że naukowcy będą wyglądać jak żywe stereotypy.

— Zaczynamy wycieczkę po Centrum Darwina — oznajmił. Zachowywał się tak, jakby zwiedzający przyszli tu obejrzeć całą placówkę, zajrzeć do biur i laboratoriów, przejrzeć kartoteki i teczek z dokumentami, zamiast po prostu pogapić się na jedną jedyną rzecz.

— Nazywam się Billy i jestem kustoszem — ciągnął. — To oznacza, że zajmuję się katalogowaniem i konserwacją eksponatów. Pracuję tu już od jakiegoś czasu. Gdy zaczynałem tę pracę, chciałem specjalizować się w mięczakach morskich... Wiesz, co to jest mięczak? — spytał chłopca, który przytaknął i schował się za plecami ojca. — Tak jest, chodzi o ślimaki. — Billy napisał magisterkę z mięczaków. — W porządku —

oznajmił, wkładając okulary. — Proszę za mną. Znajdujemy się w miejscu pracy, proszę zatem o zachowanie ciszy. Proszę też niczego nie dotykać. Mamy tu pełno żrących, toksycznych substancji i wszelkiego rodzaju paskudztw.

— A kiedy zobaczymy... — zaczął jeden z mężczyzn. Billy uciszył go gestem ręki.

— Pozwolicie państwo... — powiedział. — Najpierw wyjaśnię, co będziemy robić w środku. — Z upływem czasu Billy wykształcił w sobie własne bezsensowne idioprzesady. Jeden z nich głosił, że nikt nie powinien wymawiać nazwy ekspozycji, który wszyscy przyszli zobaczyć, póki nie znajdą się na miejscu. — Pokażę państwu kilka stanowisk pracy — zakończył niezręcznie. — Na wszelkie pytania odpowiem pod koniec wycieczki — jesteśmy trochę ograniczeni czasowo. Najpierw zrobimy obchód. — Nikt z kustoszy i badaczy nie miał obowiązku oprowadzania wycieczek, ale wielu i tak zgadzało się to robić. Billy już nawet nie narzekał, gdy przychodziła jego kolej. Wyszli do ogrodu, po jednej stronie mijając plac budowy, a po drugiej ceglane ściany Muzeum Historii Naturalnej. — Proszę nie robić zdjęć — przypomniał Billy. Nie obchodziło go, czy zwiedzający posłuchają tego polecenia, miał tylko obowiązek powtarzać formułkę. — Ten budynek otwarto w roku 2002. Jak widać, muzeum wciąż się rozbudowuje. W roku 2008 stanie tutaj jeszcze jeden budynek. W Centrum Darwina mamy aż siedem pięter mokrych preparatów... to znaczy, okazów w formalinie.

Z korytarzy prowadzących do pomieszczeń roboczych unosił się ostry zapach.

— Jezu — mruknął ktoś pod nosem.

— Rzeczywiście — przyznał Billy. — To jest dermestarium. — Przez okna w ścianach widać było stalowe pojemniki przypominające małe trumienki. — Właśnie tutaj oczyszczamy szkielety. Usuwamy z nich cały ten syf. *Dermestes maculatus*.

Na ekranie komputerowym umieszczonym obok pojem-

ników widać było jakieś obrzydliwe morskie ryby pożerane przez rój robactwa.

— Fuuuj — wykrzyknął ktoś.

— W pojemniku znajduje się kamera — wyjaśnił Billy. — Ten owad nazywa się skórnik kolczatek. Objada wszystko do czysta, zostawia tylko kości.

Chłopiec wyszczerzył zęby i pociągnął ojca za rękę. Reszta grupy uśmiechała się z zakłopotaniem. Mięsożerne owady... czasem życie naprawdę przypominało film klasy B.

Wtedy Billy zwrócił uwagę na jednego z mężczyzn. Ubrany był w staromodny garnitur, sprawiający wrażenie taniej elegancji, dziwnie kontrastujący z twarzą kogoś tak młodego. W kłapie miał przypinkę w kształcie wieloramiennej gwiazdy, której dwa ramiona zawijały się w spirale. Robił jakieś notatki, szybko przewracając kartki w notesie.

Billy, który był systematykiem zarówno z zawodu, jak i z zamiłowania, uznał kiedyś, że na wycieczki do centrum przychodzi jedynie kilka określonych typów ludzi. Przede wszystkim dzieci, przeważnie młodzi chłopcy, nieśmiali i rozgorączkowani, dysponujący ogromną wiedzą o tym, co przyszli obejrzeć. Ich opiekunowie. Nieśmiali dwudziestolatkowie, równie podekscytowani jak dzieci. Chłopcy i dziewczęta cierpliwie dotrzymujący im towarzystwa. Czasem jacyś zabłąkani turyści.

I wreszcie — obsesjonaci.

Oni jedni przewyższali swoją wiedzą małe dzieci. Czasem w ogóle się nie odzywali, czasem przerywali Billy'emu głośnymi pytaniami albo z przejściem poprawiali go w jakichś szczegółach. Zauważył, że w ciągu ostatnich kilku tygodni zjawiało się ich więcej niż zwykle.

— Chyba u schyłku lata wszystkie dziwactwa wyłażą spod ziemi — powiedział kiedyś swojemu koledze, Leonowi, gdy pili razem w pubie nad Tamizą. — Dziś przyszedł do nas gość obwieszony insygniami Gwiezdnej Floty. Niestety, nie na mojej zmianie.

— Ty faszysto — prychnął Leon. — Czemu tak nienawidzisz nerdów?

— Ja? — obruszył się Billy. — To byłby akt autoagresji, nie sądzisz?

— Tak, ale ty umiesz się wtopić w tłum. Jesteś głęboko zakonspirowany. Możesz się wymykać z getta, chować insygnia, a potem przynosić z powrotem żywność, ubrania i wieści z wielkiego świata.

— Mmm, ładne.

— W porządku — oznajmił Billy, gdy mijali go koledzy z pracy. — Cześć, Kath — zwrócił się do pani ichtiolog. — Cześć, Brendan.

— Cześć, Próbowka — zawołał inny kustosz.

— Proszę dalej — odparł spokojnie Billy. — Proszę się nie martwić, zaraz dojdziemy do celu.

„Próbowka?” Billy zobaczył, że kilku zwiedzających spogląda na niego ze zdziwieniem, zastanawiając się, czy dobrze usłyszeli.

Zdobył to przezwisko podczas popijawy w Liverpoolu, w pierwszym roku pracy w muzeum. Pojechał tam z kolegami na konferencję organizowaną przez stowarzyszenie kustoszy. Po całym dniu rozmów na temat metodologii i historycznych metod konserwacji, programów muzealnych i sposobów wystawiania eksponatów, udali się na odprężającego drinka. Zaczęło się od grzecznych pytań typu: „Jak tu trafiłeś?”, potem wszyscy, jeden po drugim, zaczęli opowiadać o swoim dzieciństwie, a to z kolei przerodziło się w seans pijackich opowieści, który ktoś ochrzcił mianem „blefu biograficznego”. Każdy z uczestników musiał opowiedzieć na swój temat jakąś możliwie szokującą anegdotę — że zjadł żywego ślimaka, uprawiał seks we czwórkę albo próbował spalić szkołę — a pozostali, przekrzykując się nawzajem, próbowali ustalić prawdziwość tej opowieści.

Billy z kamienną twarzą oznajmił, że przyszedł na świat w wyniku pierwszego udanego zapłodnienia in vitro, ale wy-

nik eksperymentu nie został opublikowany przez laboratorium z powodu sporów wewnętrznych i kontrowersji związanych z uzyskaniem zgody, dlatego też cały zaszczyt przypadł komuś innemu, urodzonemu kilka miesięcy później. Gdy rozmówcy zaczęli się domagać szczegółów, z pijacką łatwością wymienił nazwiska kilku lekarzy, adres kliniki, a także wspomniał o niewielkich komplikacjach podczas zabiegu. Zanim jednak obstawiono zakłady, nim Billy zdążył ujawnić prawdę, rozmowa zoczyła nagle na inne tory i wszyscy zapomnieli o całej sprawie. Dopiero dwa dni później w Londynie jeden z laborantów zapytał go, czy to prawda.

— Oczywiście — odparł Billy śmiertelnie poważnym tonem, który równie dobrze mógł oznaczać „oczywiście” jak i „oczywiście, że nie”. Od tego czasu nie udzielił na to pytanie żadnej innej odpowiedzi. Podejrzał, że nikt mu nie wierzy, ale i tak przyłgnęło do niego przezwisko „Próbówka” i inne warianty.

Minęli kolejnego strażnika — wysokiego barczystego mężczyznę z ogoloną głową. Z podsłuchanych rozmów Billy wiedział, że strażnik jest od niego o kilka lat starszy i ma na imię Dane, nazwiska nie usłyszał. Jak zawsze skinął głową, próbując spojrzeć mężczyźnie w oczy. Dane Jakiśtam, ku niewspółmiernemu oburzeniu Billy’ego, zignorował to powitanie.

Gdy drzwi już zamykały się za zwiedzającymi, Billy dostrzegł, że strażnik jednak zwrócił na kogoś uwagę: skłonił się leciutko młodemu obsesjonatowi z przypinką w klapie. Mężczyzna zerknął na niego przelotnie. Billy drgnął zaskoczony i, jeszcze nim drzwi całkiem się zamknęły, poczuł na sobie spojrzenie Dane’a.

Znajomy Dane’a unikał wzroku Billy’ego,

— Czujecie, że zrobiło się chłodniej? — Kustosz potrząsnął głową. Pospiesznie przeprowadził grupę poprzez automatycznie otwierane drzwi. — Ma to zapobiegać parowaniu.

Trzeba uważać z ogniem. Mamy tu sporo alkoholu i w każdej chwili... — Wykonał szybki gest, naśladujący lekki wybuch.

Zwiedzający zatrzymali się oszołomieni — znajdowali się w labiryncie eksponatów. Posegregowane ciekawostki. Całe kilometry półek i słoików. W każdym z nich tkwiło jakieś nieruchome zwierzę. Nawet dźwięk miał głuchy pogłos, jakby ktoś zakręcił nad wszystkim wieczko.

Eksponaty były bezmyślnie stłoczone, niektóre eksponowały własne bezbarwne wnętrza. Flądrowate ryby w brązowięjących pojemnikach. Słoje pełne myszy koloru sepii, groteskowo ściśnięte niczym marynowane cebulki. Były tam okazy z dodatkowymi kończynami, zakonserwowane płody o najdziwniejszych kształtach. Wszystkie posegregowane i poustawiane równiutko jak książki.

— Widzicie państwo? — spytał Billy.

W następnej sali znajdowało się to, co wszyscy przyszedli tu zobaczyć. Kustosz już wiedział z doświadczenia, jak będzie przebiegać zwiedzanie. Gdy wejdą do sali ze zbiornikiem, znajdującej się w samym sercu Centrum Darwina, zamierzał zamilknąć dla większego efektu.

Ściany pomieszczenia były wypełnione półkami. Stały na nich setki butelek, największe sięgały człowiekowi do klatki piersiowej, najmniejsze miały pojemność szklanki wody. Wszystkie zawierały ponure zwierzęce główki. Sala była urządzona w stylu późnego Linneusza, spokrewnione gatunki umieszczone obok siebie. Gdzieś tam stały stalowe kubły, a liny zwisały się z bloczków niczym pnącza. Billy był pewien, że nikt nie zwróci na nie uwagi. Wszyscy będą się gapić na wielki zbiornik pośrodku sali.

Właśnie po to tu przyszedli — zobaczyć tę wielką różową istotę. Nie przeszkadzało im, że była kompletnie nieruchoma, pokryta śladami powolnego rozkładu. Pomimo strzępów tkanki pływających w mętnym roztworze, mimo braku oczu, mimo bladej, chorobliwej barwy, mimo wątpliwych, splątanych

kończyn, zwisających jak wykręcone pranie, to właśnie ona była celem ich wizyty.

Stwór będzie się tak unosił, zawieszony w ogromnym zbiorniku. Absurdalnie masywna atrakcja w kolorze sepii. *Architeuthis dux*. Kałamarnica olbrzymia.

— Mierzy osiem metrów i sześćdziesiąt dwa centymetry — powie w końcu Billy. — Nie jest to największy okaz, jaki zaobserwowano, ale nie jest też mikrusem. — Zwiedzający zaczną obchodzić zbiornik wokół. — Znaleziono go w roku 2004, nieopodal Wysp Falklandzkich.

— Jest zakonserwowana w roztworze solanki i formaliny. Zbiornik został wykonany przez ten sam zespół, który zrobił akwarium dla Damiena Hirsta. Wiecie... to, w którym umieścił rekina?

Dzieci pochylały się gorączkowo, by znaleźć się jak najbliżej wielkiego stwora.

— Jej oczy miały jakieś dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery centymetry średnicy — ciągnął Billy. Słuchacze będą odmierzać ten odcinek palcami, a dzieci wytrzeszczą oczy jak najszerzej. — Uhm. Wielkości talerzy obiadowych. — Za każdym razem, gdy to mówił, przychodził mu na myśl pies z baśni Andersena. — Ale oczy bardzo trudno jest zakonserwować, zostały więc usunięte. Nastrzyknęliśmy ją tym samym roztworem, który wypełnia zbiornik, by niegniła od środka. Gdy ją złapano, była jeszcze żywa.

Zwiedzający aż westchną oniemiałi. Wizje splątanych macek, dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi, rozpaczliwa walka z bluźnierczym potworem z głębin. Drapieżny worek mięśni, długie wijące się kończyny oplatające reling statku z morderczą zręcznością.

W rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Po wynurzeniu na powierzchnię wielka kałamarnica była słaba, zdezorientowana i umierająca. Sparaliżowana, przerażona własnym narastającym ciężarem, prawdopodobnie z trudem

chwytając oddech — konająca galaretowata masa. Ale to już było bez znaczenia. Schwywania tego stworza nie dawało się sprowadzić do samych tylko suchych faktów.

Kałamarnica będzie spoglądać na widzów pustymi oczodołami, a Billy pada odpowiedzi na znajome pytania: „Nazwaliśmy ją Archie”, „Bo po łacinie nazywa się *Architeuthis*”, „Tak, chociaż podejrzewamy, że to samica”.

Gdy kałamarnica przybyła, obłożona lodem i owinięta tkaniną nasączoną konserwantem, Billy pomagał ją rozwijać. To on masował jej martwe cielsko, ugniatając tkanę, by sprawdzić, gdzie dotarły konserwanty. Był tak zajęty pracą, że w pewnym sensie niemal jej nie zauważył. Dopiero kiedy skończyli, a zwierzę wylądowało w zbiorniku, w pełni dotarło do niego, na co spogląda. Patrzył, jak załamane światła w szkle sprawia, że kałamarnica zdaje się poruszać, w miarę jak zbliżał się do niej i odsuwał, magiczny zastępnym ruch.

Nie był to okaz typowy, jeden z tych platońskich okazów, które mają na zawsze zdefiniować i określić wszystko, co do nich podobne. Za to kałamarnica była piękna, cała i nikt nie zamierzał jej pokroić.

Po jakimś czasie zwiedzający zaczęli się interesować innymi okazami w sali. Wstęgor zwinięty jak tasiemka. Echidna. Butla pełna małpek. W samym końcu sali znajdował się regał, na którym ustawiono trzynaście małych słoiczeków.

— Czy ktoś wie, co to takiego? — spyta Billy. — Proszę podejść bliżej.

Te eksponaty odróżniały się od innych kilkoma szczegółami, w tym brązowiejącą barwą atramentu i zamasztywym, ozdobnym charakterem pisma, którym wypisano etykiety.

— Zostały zebrane przez kogoś wyjątkowego — doda Billy, zwracając się do dzieci. — Potraficie przeczytać to słowo? Wiecie, co oznacza „Beagle”?

Niektórzy wiedzieli i nagle zaczęli z niedowierzaniem spoglądać na kolekcję słoików najzwyczajniej w świecie stojących na półce. Małe zwierzęta zebrane, uśmiercone, za-

konserwowane i opisane podczas podróży do Ameryki Południowej dwa wieki temu przez młodego naturalistę Karola Darwina.

— To jego pismo — potwierdzi Billy. — Był wtedy młody i jeszcze nie zdążył sformułować swojej teorii. To one podsunęły mu ten pomysł. Nie ma tu co prawda słynnych żęb, ale to od nich się wszystko zaczęło. Niedługo przypada rocznica jego wyprawy.

Od czasu do czasu ktoś próbował podważać teorię Darwina. Billy nigdy na to nie pozwalał.

Nawet trzynaście słoiczków teorii ewolucji i wielowiekowe kolekcje zbrązowiałych krokodyli i ciekawostek z głębi mórz nie potrafiły przyćmić wielkiego głowonoga. Billy wiedział, jak wielką rolę odegrały zbiory Darwina, nawet jeśli zwiedzający nie zdawali sobie z tego sprawy. Nieważne. Po wejściu do tej sali człowiek przekraczał horyzont niesamowitości, a wielka kałamarnica stanowiła osobliwość.

Billy wiedział zatem dokładnie, jak będzie przebiegać wycieczka. Jednak gdy otworzył drzwi, zatrzymał się gwałtownie i przez kilka sekund gapił się w oszołomieniu. Zwiedzający minęli go, po czym zatrzymali się zakłopotani, niepewni, co będą oglądać.

Pośrodku sali widać było pustkę. Wszystkie słoiki na półkach spoglądały na miejsce zbrodni. Dziewięciometrowy zbiornik, wypełniony tysiącami litrów solanko-formaliny z olbrzymią kałamarnicą w środku, zniknął.